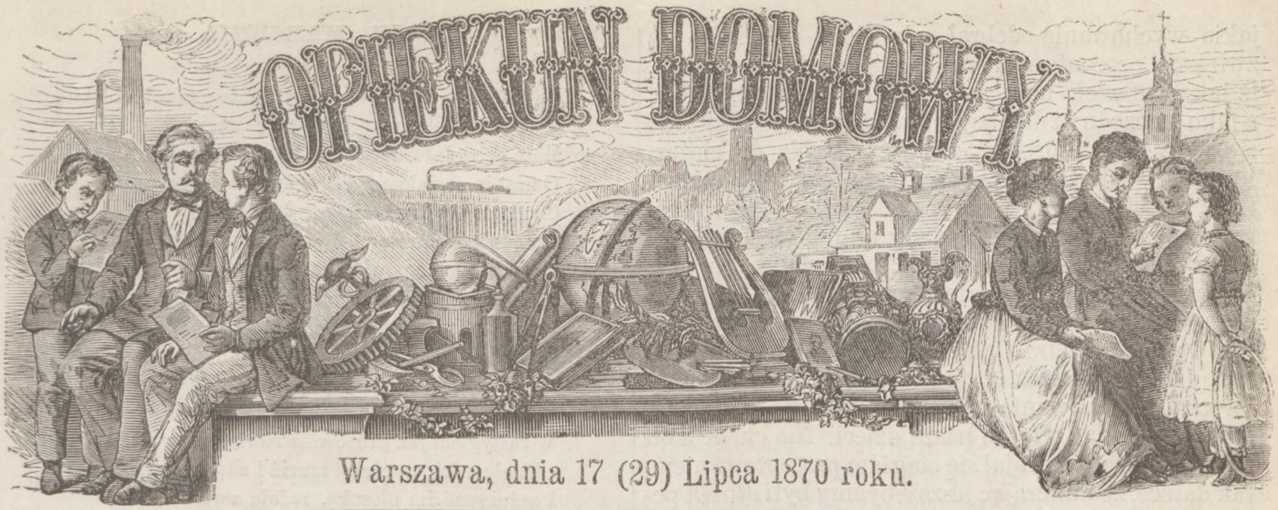


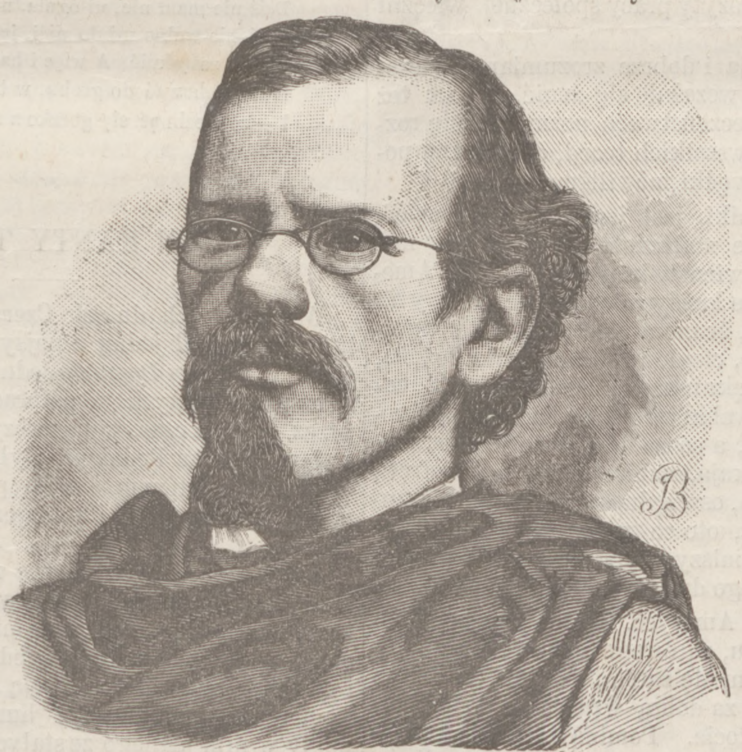
Warszawa, dnia 17 (29) Lipca 1870 roku.

№ 30. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

TREŚĆ: O wczesnem małżeństwie, przez Walerego *Przyborowskiego*. — Moje Marzenia, wiersz Franciszka *Gumowskiego*. — Jan Kanty Turski, (z portretem), przez Wołodego *Skibę*. — Słowacy Morawscy, (z dwoma drzeworytami), przez Ad. N. *Nakęskiego*. — Wystawa przemysłowa w Petersburgu (ciąg dalszy). — Teatry ogródkowe, przez M. *Dzikowskiego*. — **Szkice obyczajowe:** Charakterystyka wąsów, (dokończenie, z dwiema rycinami), pomysł i rysunek Leona *Kunickiego*. — **Wiadomości techniczne**. — Rozmaitości. — Korrespondencja od Redakcji.

O WCZESNEM MAŁŻEŃSTWIE.

Stare przysłowie, owa głęboka mądrość narodowa, powiada: że ranne wstanie, wczesne ożenienie, nikomu nie szkodzi. Chcemy się tu właśnie zastanowić, czy przysłowie to jest prawdziwe, t. j. czy w istocie nikomu nie staje na przeszkodzie wczesne wejście w związki małżeńskie. Wielu bowiem ludzi, mających za sobą powagę doświadczenia twierdzi całkiem przeciwnie. I tak mówią oni, że młody człowiek, żeniąc się wcześnie, przywiązuje sobie niejako kulę do nogi, która nie pozwoli mu w razie potrzeby swobodnie skrzydeł rozwinąć; że mężczyzna, wprzód nim zawiąże rodzinę, powinien poznać świat i ludzi, nabyć doświadczenia, by z takim zasobem duchowym godnie mógł spełniać obowiązki męża i ojca. Zdania te mają w sobie dużo prawdy, ale że oparte na fałszywém założeniu, fałszywe też wnioski mają w sobie.



Jan Kanty Turski. — (Strona 346-ta).

Postaramy się tego dowieść, dla nas bowiem ono stare przysłowie mieści w sobie nie tylko mądrość głęboką i zbawienną, ale przeczucie niejako prawdy ekonomicznéj, prawdy, która dzisiaj w społeczeństwach wysoko ucywilizowanych wchodzi w życie.

Nauka bowiem ekonomiki tak nas uczy:

Rodzice wychowujący swoje dzieci, czy to w ten sposób, że dają im do ręki pewne rzemiosło, czy też naukę, która z czasem zapewni im byt niezależny, wydają na to wychowanie pewien kapitał, kapitał, który nie tylko że się nie wraca im zaraz, ale nawet nie procentuje. Atoli kapitał ten, powinien być zwróconym z czasem przez dzieci rodzicom lub społeczeństwu; dzieci są tu dłużnikami. Dług zaciągnięty względem rodziny ma być po pewnym przeciągu czasu zwróconym rodzicom lub społeczności. Mówię społeczności, bo dla ekonomiki społeczeństwo ludzkie, w myśl chrześcijańskiéj zasady, przedstawia się jako jedna wielka rodzina pracująca. Owóż, jeżeli w téj olbrzymiéj rodzinie, którykolwiek z jéj członków dług zaciąga od całości, to jako człowiek uczciwy powinien zwrócić jéj ten dług pod karą zatraty cząstki pracy ogólnéj, jaką przedstawiał pożyczony mu kapitał i uważania go za pasożyta, za darmozjada.

Każdy więc człowiek, w chwili kiedy całkiem jest już uzdolniony do zarabiania na swe utrzymanie, opuszczając rodzinę, a raczéj nie potrzebując już jéj pomocy, wychodzi na świat obciążony długiem mniejszym lub większym, stosownie do tego

jakie wychowanie odebrał, ale który co chwila się zwiększa procentowaniem. Przytém czuje on dobrze, iż jako człowiek uczciwy powinien dług ten oddać, a jako oszczędny i dbający o swą przyszłość, postarać się, żeby jak najprędzéj zrzucić z siebie ów ciężar, krępujący lot jego swobodny. Lecz komuż tu oddać? Czyż to był kiedy taki przypadek, ażeby dzieci zwracały rodzicom kapitał, wydany na ich wychowanie? Nie! rodzice wreszcie tego nie potrzebują, bo jeśli potrafili uczciwie swe dzieci wychować, to i potrafili zapewnić sobie na stare lata spokojny kawałek chleba. Otóż jak mądra Opatrzność, budując społeczeństwo ludzkie, urządziła tę kwestję: kapitał wydany na nasze wychowanie winniśmy zwrócić społeczności wychowując własne nasze dzieci. Nie chcąc atoli by ten kapitał podwajał się ciągłém procentowaniem, tak dalece, że umierając jeszczebyśmy byli dłużni pewną summę społeczeństwu, powinniśmy żenić się jak można najwcześniéj. Tym sposobem będąc w sile wieku potrafimy wychować nasze dzieci i zaspokoić nasz dług, ale co więcéj, będziemy mieli dość czasu jeszcze na zapewnienie sobie spokoju na stare lata. Tymczasem żeniąc się późno, nie tylko że niebędziemy mogli zwrócić długu, bo nie wychowamy naszych dzieci, ale nawet nie możebném się to stanie z tego powodu, że kapitał wzrośnie zbyt wysoko przez należne procenta. Umrzemy więc okradając społeczność z cząstki pracy, z pewnéj summy, którąśmy zużytkowali na siebie. O ludziach, którzy całe życie przepędzają w stanie bezżennym, nie ma tu co i mówić, są to pasożyty pracy społecznéj, wieczni dłużnicy.

Tak więc ekonomja i dobrze zrozumiany interes społeczny nakazują wcześnie się żenić. I tak też zwykle bywa w społeczeństwach normalnie się rozwijających, pomimo wszelkich teorji, o jakich na początku niniejszéj gawędki mówiliśmy.

Ale prócz ekonomiki, jest jeszcze jeden powód, który zaleca wczesne małżeństwo, a tym jest moralność. Widzimy bowiem w krajach, jak np. w Ameryce północnéj, gdzie każdy młodzieniec między 22 a 25 rokiem żeni się, że moralność wznosi się wysoko. Ognisko domowe, ciepło rodzinne, miłość cicha, czyż może być cóś piękniejszego i słodszego, cóś, coby potrafiło więcéj wabić ku sobie? Nie! ztąd jednostki są moralniejsze, a co za tém idzie i społeczeństwo. Duch się uspokaja, nabiera słodyczy, wstrętu do hulaszczego życia, oszczędność zastępuje rozrzutność, spokój, miłość, oto co tworzy rodzina! Czyż wreszcie jest wspanialszy widok, pod słońcem, nad widok ojca, otoczonego dziatwą swoją?...

Wspomnieliśmy o Ameryce. Kraina to wysokiego praktycznego rozumu, zdrowego sądu o rzeczy, siły i energji. Zdaje nam się zatém, że jeśli tam rzecz jaka uznaną została za dobrą względem społeczności, to taką jest w istocie. Pominąwszy więc wszystko to, cośmy dotąd mówili za wczesném małżeństwem, ten sam wzgląd, że w Ameryce jest takowa w zwyczaju, powinienby nas utwierdzić w tém przekonaniu, że to jest dobre. U nas atoli inaczéj na rzeczy patrzą i nieraz przychodzi spotykać się ze zdaniami doświadczonych niby ludzi, którzy patrząc powierzchownie, zapominają o tém i, że tak powiem, wyrządzają nieobliczone szkody społeczeństwu... Na tém kończymy. *Walery Przyborowski.*

MOJE MARZENIA.

Chciałem — czego? — korony, może gwiazd z błękitu,
Tęcz siedmiobarwnych, zorzy jaśniejącéj złotem,
Może skrzydeł Cheruba, kolumny z granitu?...
O nie! ja chciałem życia — życia żeby potem
Czuć, działać i ukochać te lasy i niwy,
Sercem pełném świętego natchnienia miłości;
Chciałem przemówić bratnio wszystkiemi ogniwy
Duszy, do tych pól wonnych, do naszych świętości,
Do tych chat postarzałych, do tych drzew, rzek, gajów,
Do tych zaklętych jezior, do srebrnych ruczajów;
Chciałem piersią gorącą uderzyć w pierś głuchą,
By iskrę uniesienia skrzesać naokoło,
W zastygłém jak grobowiec rówieśników łonie;
Chciałem ich w niebo rzucić i napełnić skruchą,
I zaśpiewać im piosnkę, raźnie a wesoło,
I ku słońcu, jak orzeł skrzydła, podnieść dłonie;
Chciałem skonać a śpiewać tylko hymn zbawienia,
Chciałem kochać i wierzyć, a w nagrodę wiary,
Nie chciałem już nic — tylko dna z kipiącéj czary,
Jéj ust różanych... Patrzcie, to moje marzenia!
Prawda, niewielkie, ludzkie, zwykle jak na świecie,
Bo i w bogów granice nie wkraczałem przecie,
I ognia Jowiszowi nie chciałem kraść wcale,
I byłbym żył jak żyją ludów miljony.

Nie, niebo się uwzięło, gniotąc mnie wspaniale,
I szydząc z moich pragnień gdym ja zrozpaczony
Targał włosy, jak dziecko na mogile matki.

Dziś nie mam nic, ni ognia, ni łez, ni zapału,
Dziś nie wolno mi do niéj, jak do ideału
Nawet zatęsknić. A więc i harfy ostatki
Muszę schować do grobu, w trumnę zapomnienia,
I — uśmiechnąć się gorzko z mojego marzenia...

Franciszek Gumowski.

JAN KANTY TURSKI.

W pierwszych dniach Czerwca r. b. świat nasz literacki stracił jedną z najsympatyczniejszych postaci, a *Opiekun Domowy* jednego z najżyczliwszych i najczynniejszych współpracowników, a nawet przez pewien czas, w pierwszym roku bytu pisma, stałego członka Redakcji. Był to Jan Kanty Turski, człowiek, o którym śmiało powiedzieć można, że miał tylu przyjaciół ilu znajomych, a nieprzyjaciela żadnego.

Krótkie życie jego zbiegło na ciągłéj walce z losem, z niedostatkiem; w trzydziestu ośmiu latach które spędził pomiędzy nami niewieleby się dało chwil szczęścia naliczyć, a jednak znać że z pogodą i odwagą spoglądał na swoją dolę, kiedy mu nawet humoru nie brakowało i humorystyczne pisemka miały w nim jednego ze stałych współpracowników.

Urodził się w Krakowie w r. 1832. Ojciec, Szczepan, weteran z czasów Napoleona i późniejszych wojen, odumarł go w dziecięcym wieku; matka, z domu Sztanclówna, zajmowała się jego wychowaniem, i temu zapewne, oprócz wrodzonego usposobienia, przypisać należy, że się w charakterze jego wykształciła bardziéj strona serdeczna, miększa, niewieścia, pociągająca doń ludzi, ale wyłączająca z charakteru tę energię męzką, bez któréj życie ludzi, zrodzonych w niedostatku, zmuszanych do

pracy na chléb, zostaje na zawsze życiem bez jutra. Pod okiem matki ukończył gimnazjum, póżniéj przez dwa lata słuchał wykładów prawa na uniwersytecie jagiellońskim, a następnie przeszedł na wydział filologiczno-historyczny; ale te studja odbywał już jako sierota, gdyż śmierć matki pozostawiła go samym na świecie.

Po matce najgorętszą miłością ukochał rodzinne miasto Kraków, każdy jego kamień, każdą pamiątkę; był prawdziwém dzieckiem Krakowa, oddychał w nim najswobodniéj, najżywiéj tęsknił za nim gdy go był zmuszony opuszczać.

Z takiém usposobieniem chciał zostać poetą. Młodość czyni na chwilę poetami prawie wszystkich; w nim życie i wychowanie rozdmuchało iskrę prawdziwą. Stworzył pierwszy poemat: *Artysta bez sławy;* koledzy z uniesieniem przyjęli to dzieło, świat był obojętniejszym na nie i autora przekonał prędko, że poematami nie zdobędzie powszedniego chleba.

Zrazu Turski zamierzył zostać kapłanem i w tym celu wstąpił do seminarjum w Tarnowie, nie czując jednak prawdziwego powołania, odstąpił od tego zamiaru. Został daléj prywatnym nauczycielem na wsi, potém otrzymał posadę nauczyciela w Sączu. Wypadki bieżące wkrótce go pozbawiły tego skromnego kawałka chleba i w przykre wtrąciły położenie. Wkrótce potém, pod pseudonymem J. K. Rogali, napisał obrazek Krakowski p. t. *Kulig*, umieszczony w piśmie miesięczném, które podówczas jako dodatek do jednego z pism codziennych wychodziło.

Jednocześnie pracował na chleb tak zwaną pracą literacką dla księgarzy i wydawców, najcięższym wyrobkiem jaki istnieje. Człowiekowi, któremu Bóg wlał w duszę iskrę poezji, człowiekowi z talentem i nauką, który marzy o swobodném oddaniu się jakiéjś wypieszczonéj w swoim umyśle, wykołysanéj i ukochanéj obszerniejszéj pracy artystycznéj lub naukowéj, mającéj spożytkować wszystkie zasoby jego skarbów ducha, taki spekulant nakładca powiada,· że dzieło, o którém myśli, nie opłaciłoby się bynajmniéj i proponuje mu w zamian tłómaczenie jakiéj niezdarnéj roboty, kompilacje bez wartości, efemerycznego znaczenia, sfabrykowanie książki gastronomicznéj o przyrządzaniu bigosów i smażeniu konfitur, układanie sennika, zbioru powinszowań, rozmówek francuzkich lub teorji gry w karty, świeżo weszłéj w modę. Biedak musi swe plany odkładać na potém i przyjmować robotę, która bezcelowością swoją do rozpaczy przywodzi, wartości nie ma, sławy przynieść nie może, ale daje chleb powszedni. Turski był pracowitym, chciał być chleb swój winnym samemu sobie, był przytém miękki i sprzedawać swojéj pracy nie umiał, a co najważniejsza był sumienny i wszystko, czego się podjął, wykonał na czas i dobrze, to też wyzyskiwacze pracy umysłowéj lubili go i dostarczali mu roboty, ale płacili tak nędznie, że śmiechem prawie nazwać to zapłatą. Jeden naprzykład księgarz, za jakieś komedyjki czy powiastki dla dzieci, płacił mu po guldenie (60 kop.) od arkusza druku, a już w ostatnich chwilach życia, kiedy złożony boleścią w domu tylko wysiłkiem woli pracował jeszcze, Redakcja, któréj był stałym współpracownikiem, płaciła mu za codzienne tłómaczenie i przerabianie z pism zagranicznych artykułów kronikarskich 20 złr. (12 rsr.) miesięcznie!

Że Turski nie zajął o wiele wyższego stanowiska w literaturze, jak zajmował, przypisać to należy głównie, a nawet jedynie, temu literackiemu wyrobnictwu. Koń wyścigowy, zamknięty do deptaka, stanie się taką szkapą, jak każda inna; tak samo talent na literackiéj pańszczyznie.

Pod koniec r. 1860 J. K. Turski rozpoczął wydawać pismo tygodniowe dla kobiet, p. t. *Niewiasta*. Turski był właściwie przez dwa lata istnienia redaktorem i głównym współpracownikiem tego tygodnika. Umieszczał w nim poezje, monografje, powieści, rozprawy, krytyki, i t. d. Między innemi drukował tam obszerniejszy poemat p. t. *W jasyrze*, powieści: *Protekcje i intrygi*, *Pierwéj córki* i pomniejsze artykuły historyczne: *Maryna Mniszchówna*, *Marja Kazimiera*, *Królowa Jadwiga* i inne. W r. 1862 wydał tomik swoich Poezji.

Oprócz *Niewiasty* pisywał także i do *Gwiazdki Cieszyńskiej*, a nawet przeniósł się na czas krótki do Cieszyna na stałego współpracownika tego ludowego pisemka; ale *Gwiazdka* sama ma chleba skąpo, więc ją wkrótce musiał opuścić i wrócił do rodzinnego miasta.

Przez parę lat następnych pisywał wiele do pism Lwowskich i Warszawskich. Wtedy wyszły większe jego powieści: *Życie bez jutra*, *Wielkie początki*, *Dalecy krewni*. W końcu przeniósł się nawet do Warszawy i przyjął zrazu stałe współpracownictwo w *Opiekunie Domowym*, a potém objął sam na siebie redakcję *Bazaru*, gdzie umieszczał wiele swoich utworów, między innemi powieść p. n. *Ocalona*, a jednocześnie pisywał do *Tygodnika Illustrowanego*, *Kłosów*, *Przyjaciela Dzieci*, *Kurjera Świątecznego* i innych pism. W *Tygodniku* umieścił monodramat wierszem p. n. *Ostatnie chwile Stańczyka*, który był z powodzeniem przedstawiany na scenie Warszawskiéj.

Warszawa postawiła go lepiéj materjalnie, mógł już pomyśleć o utworzeniu sobie rodziny. W r. 1866 zaślubił Lidję Filipi, córkę znanego artysty rzeźbiarza Pawła Filipiego i znalazł w niéj to wsystko, co mąż w dobréj żonie znaleść powinien, znalazł to, co mężczyzna z jego usposobieniem koniecznie znaleść potrzebował, rzadką moc charakteru połączoną ze słodyczą obejścia. Oboje czas jakiś jeszcze przebyli w Warszawie, tęsknota jednak za Krakowem, żle wpływająca na wątłe zdrowie Turskiego, skłoniła ich do powrotu do rodzinnego grodu, gdzie dobrowolnie na skromniejsze skazali się życie, aby tylko nie być daleko od ukochanych murów i okolic.

Nieprzerwana praca do pism Warszawskich i Lwowskich, nie zdołała mu jednak zapewnić utrzymania. Trzeba było pomyśleć o pewniejszym kawałku chleba, powrócić na nowo na nauczycielską katedrę. Otrzymał posadę nauczyciela przy gimnazjum w Kołomyi i udał się na Pokucie, gdzie rok cały przepędził. Tu w wolnych chwilach od prac obowiązkowych napisał kilka powieści, między innemi „*Zochnę Krobiankę*,“ komedję jednoaktową pod tytułem „*Faworyt*,“ libretto do opery nie ogłoszonéj dotąd, a wreszcie redagował wychodzące trzy razy na miesiąc na Bukowinie w Czerniowcach pismo: „*Ogniwo*.“

W obcym dla siebie żywiole na Rusi tęsknić musiał jeszcze bardziéj za rodzinnym grodem, a bezustanna praca literacka, do szczętu podkopała jego zdrowie. Sądząc, że go Kraków uleczy, powró-

cił do niego w końcu r. z. z rozwiniętą chorobą nerwów, z zagrożonym niemocą organizmem. Trzymał się jeszcze na nogach, ale sam wychodzić nie mógł, najmniejszy niespodziewany hałas przerażał go, wprawiał w febryczne drżenie i ubezwładniał. Ostatnie też półrocze życia bez przerwy prawie spędzał w mieszkaniu, nie opuszczając jednak pióra, które oprócz robót obowiązkowych dla dziennika, stworzyło jeszcze nie ogłoszony dotąd drukiem poemat, pod tytułem „*Licytacja*,“ nie drukowaną jeszcze również powieść „*Oczekiwany*“ i powieść co tylko ukończoną w „*Kalinie*“ pod tytułem „ *Wnuczka*.“ W dniu 7 Czerwca po raz ostatni zamknął powieki, przenosząc się do lepszego życia. Pokoj jego popiołom!

Wołody Skiba.

SŁOWACY

MORAWSCY.

Jednym z tak zwanych krajów koronnych, składających państwo Węgiersko - Austrjackie, jest margrabstwo Morawskie, będące szczątkiem niegdyś potężnego i obszernego królestwa Wielko-Morawskiego, upadłego na początku X-go stulecia w skutek najazdu mongolskich Madziarów ze wschodu, a niemieckich Franków z zachodu.



Słowak Morawski.

Kraik ten, obejmujący tylko 386 mil kwadratowych, liczy ludności około 1,900,000. Z téj około 1,400,000 mieszkańców należy do plemienia Słowiańskiego, a przeszło 500,000 do Niemieckiego. Ludność Słowiańska zajmuje dwie trzecie części powierzchni tego kraju, mianowicie okolice: zachodnią, środkową i wschodnią; Niemiecka zaś, zasiedla dwa pasy wzdłuż granicy południowéj i północnéj. Pierwszą składają: *Hanacy*, *Horacy*, *Walasi i Lasi*, *Chorwaci* i *Słowacy;* druga zaś składa się: 1) z *Sudetanów*, zamieszkujących stoki gór, leżących na północy, oraz 2) z *Kulendrów* i 3) z *Szenhengtleterów*, wszystkich należących do tak zwanego przez etnografów szczepu Górno-Niemieckiego; czwarte pokolenie, żyjące w stronie południowéj i nazywające się *Tajanerami* od rzeki Dyi, zwanéj po niemiecku *Tają*, należy do szczepu Bawarskiego.

Ludność Słowiańska jest pierwotna i do końca XII-go stulecia była jedyną na téj ziemi. Dopiero margrabia Henryk Władysław zaczął tu osiedlać Niemców, a za jego przykładem Ołomunieccy biskupi oraz kapituły Ołomuniecka i Berneńska; następnie zaś i rozmaite a liczne wtedy klasztory zasiedlone Niemcami i innymi cudzoziemcami, oraz konwenty Rycerzy Niemieckich i Ś-go Jana, których niemałą dążnością między innemi było giermanizowanie wszystkiego, co nie było niemieckiém, ku chwale Boskiéj (jak mawiano), a rzeczywiście dla materjalnéj korzyści cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego ówczesnego, a jak się dzisiaj mówi „*Grossvaterlandu*.“

Wszystka ta ludność, tak Słowiańska jak i Niemiecka, nazywa się we względzie polityczno-administracyjnym, Morawianami; pod względem zaś etnograficznym: pierwsi Czechami, a drudzy Niemcami; mowę zaś ojczystą ma czeską i niemiecką. *Hanacy*, mówiący najbardziéj od innych różniącém się narzeczem języka czeskiego, mieszkają nad rzeką Haną, a w części i nad rzeką Morawą wokolicy Wiszkowa, Ołomuńca, Lipnika i Kromierzyża; *Horacy*, których narzecze bardzo mało się różni od piśmiennego języka, przemieszkują na górach Czesko-Morawskich oraz w Berneńskiém, Ołomunieckiém i Znojemskiém; *Lasi i Walasi*, żyjący na górném porzeczu Beczwy, mówią narzeczem, przechowującém mnóstwo starych słów i form językowych, oraz stanowiącém niejako przejście od języka Czeskiego do Polskiego i jak ten, mającém akcent tylko na przedostatniéj zgłosce słowa; odzież zaś ich stanowi okrągły kapelusz, czerwona kamizelka i kapota zwana *żupica;* na szyi nigdy nie noszą chustki. *Chorwaci* są potomkami osadników, sprowadzonych tu około r. 1580 i osiedlonych w trzech wsiach nad południową częścią rzeki Morawy; zachowują oni dotąd ubiór narodowy. Nareszcie całą

część wschodnią i część południową około Brzesławia, zaludniają *Słowacy*, których przedstawiają dwie ryciny (str. 348 i 349). Lud to silnéj budowy ciała, jak jego pobratymcy—Słowacy Węgierscy. Słowak Morawski nosi w lecie krótką koszulę z płótna konopnego, takież szerokie spodnie i mały pilśniowy kapelusz (kłobuk), ozdobny wstążkami i piórami, oraz biały płaszcz z grubego sukna, który w zimie zamieniony zostaje na kożuch. Niewiasty noszą jak mężczyzni dosyć ciężkie buty na wysokich napiętkach z podkówkami.

Ludność żeńska margrabstwa Morawskiego przewyższa męzką o 92,000 przeszło. Żywotność zaś Słowiańskiéj nad Niemiecką ludnością coraz bardziéj staje się wybitniejszą. Jednym z dowodów tego jest przenarodowianie się Niemców, widoczne już w licznych osadach wokolicy pomiędzy Rusinowem a Wiszkowem; podobnież coraz większe zmniejszanie się żywiołu Niemieckiego, a zwiększanie Słowiańskiego w Kuczerowie, Krążku, Hluboczanach, Zwonicach, w okręgu Berneńskim, mianowicie w Modrzycach, gdzie niegdyś biskupi Ołomunieccy siłą zniemczyli miejscowych mieszkańców; winnych znów stronach bywa, że gdy Niemiec chce sobie zaśpiewać coś wesołego, to śpiewa piosnki Czeskie. Czeszczenie się Niemców dzieje się nawet po miastach. I tak w samym Bernie, obecnie już większa połowa mieszkańców zalicza się do Czeskiéj narodowości, a co ważniejsza, że teraz nie zdarza się już od paru dziesiątków lat, aby gdzie jaka rodzina Czeska uznała się za niemiecką, jak to niegdyś bywało z widoków materjalnych lub innych jakich powodów, co miewa jeszcze miejsce z Polakami pod panowaniem Prusko-Niemieckiém.

Ad. N. Nakęski.



Słowaczka Morawska.

Wystawa Przemysłowa w Petersburgu.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 27-y).

Co do wyrobów jedwabnych, Królestwo stoi bardzo nizko. Spółka jedwabnicza, która powinna była zająć się tym przemysłem, po chwilowém niepowodzeniu założyła ręce. Pan *Emil Hignet* gorliwy propagator ajlantusa, przysłał na wystawę próby rozmaite i kokony, z któremi produkuje się wszędzie, które jednak w rezultacie są tylko amatorskiém zatrudnieniem, i w niczém zgoła nie wpływają [na rozwój, a nawet na zaszczepienie jedwabnictwa w kraju. Drugim wystawcą jest pan *Worowski Józef*, mało przerabiający jedwabiu a więcéj wełny i bawełny na obicia meblowe. Rossja jednak wystąpiła bardzo świetnie pod względem jedwabnych wyrobów, które w niektórych gatunkach mogą współzawodniczyć z francuzkiemi. Z innych przedmiotów, do tego oddziału należących a z Królestwa pochodzących, wymienimy *Aleksandra Fajsta* z Warszawy szczotki w pięknym asortymencie i próby zużytkowania w szczotkarstwie odpadków od piór gęsich; próby te przynoszą zaszczyt panu Fajstowi. *Balle* i t. p. z Kalisza dostarczyli różnego gatunku, tasiemek do dobrych zaliczanych. *Kreskie Adolf* z Pabianic, *Szanger* z Łodzi, dali kurtki, jubki, szaliki, pończochy i t. p. *Szpilrajn* z Warszawy, bardzo ładne guziki. *Rajchel* z Warszawy bieliznę, która już podobno i w Cesarstwie wyrobiła sobie należne uznanie. *Juszczyk*, krawiec z Warszawy, premjowany już w Paryżu, bardzo ekonomicznie sporządzone wojskowe i cywilne ubranie. *Rauer* także z Warszawy, dał pięknie odrobione wykwintne męzkie ubranie. *Starkman* z Warszawy, także ubranie. *Gajsler* z Warszawy kobiece ubiory, a *Paja Marja* z Warszawy gorsety. Kapelusze przewyższające Rossyjskie dobrocią, wystawili *Wajgt i Lot* z Warszawy, a *Pohorecki* z Warszawy, fryzjer jedyny na

wystawie, wystąpił z fryzjerskiemi przedmiotami. Petersburg dostawił bardzo wiele bogatych damskich strojów. Zwracała także uwagę Waksatyna, to jest: płótno napuszczone tłustością rybią.

Gdyśmy już przegląd Działu I na wystawie dali do druku, doszła nas urzędowa wiadomość o nagrodach, otrzymanych przez polskich wystawców na rossyjskiéj wystawie. Zamieszczamy więc tutaj wykaz wynagrodzonych z działu pierwszego, a o laureatach innych działów mówić będziemy przy opisie wystawy. Owoż z oddziału I, najwyższą nagrodę czyli *prawo używania na szyldach i wyrobach herbu państwa*, otrzymali panowie: *Hille i Ditrych* z Żyrardowa, *Karol Szajbler* z Łodzi i *Ferdynand Nitsche*, dawniéj Fidler, z Opatówka; *medal złoty:* pan *Mikołaj Glinka* ze Szczawina; *medale srebrne:* panowie: *Aleksander Fajst* z Warszawy i *D. Szpielrajn* także z Warszawy za guziki; *medale bronzowe* panowie: *Stanisław Skrutkowski* z Gawartowéj Woli, *Faibus, Lange i Rozner* z Tomaszowa Rawskiego, *bracia Zimmermann* także z Tomaszowa szczególne za jasne kamizelki, *Borst* ze Zgierza, *Librach i Margulies* ze Zgierza za kort, *Majerhoff* z gub. Piotrkowskiéj, *bracia Knotte* z Tomaszowa, *Hentzel Edward* z Łodzi, *Worowski Józef* z Warszawy, *Gajsler Edward* z Warszawy, *Edward Loth* z Warszawy za kapelusze pilśniowe i słomkowe; *listy pochwalne:* pp. *Konstanty Piotrowski* z Lublina, *Walman* ze Zgierza, *Karol Kitlaus* ze Zgierza, *Emil Hignet* z Warszawy, *Bale* i Sp. w Kaliszu za taśmy, *Juljusz Rejchel* z Warsz. *Józef Juszczyk* z Warszawy, *Mikołaj Jakóbczak* włościanin z pod Warszawy, za włościańskie ubranie gotowe i *Teodor Wejgt* z Warszawy za kapelusze. Razem z oddziału tego na 46 wystawców z Królestwa otrzymało nagrody wystawców 26, czyli przeszło połowa. W innych działach wypadło nagród:

w II	na 29	wystawców	z Królestwa	nagród	12
„ III	„ 33	„	„	„	26
„ IV	„ 24	„	„	„	23
„ V	„ 38	„	„	„	19
„ VI	„ 45	„	„	„	32
„ VII	„ 8	„	„	„	7
w ogóle	na 223	„	„	„	145

czyli że trzy czwarte wystawców otrzymało nagrody. Na ilość zatém nagród wystawcy skarżyć się nie powinni. Dziwném atoli wydaje się, że pomiędzy wynagrodzonymi nie ma takich firm jak Hordliczki za szkła i Temlera i Szwedego za skóry i wytłómaczyć sobie tego nie możemy, widząc iż wyroby tych fabryk zajmowały jedne z najzaszczytniejszych miejsc na wystawie. *(Dokończenie nastąpi).*

TEATRY OGRÓDKOWE.

Poświęcając dziś osobny artykuł przedstawieniom teatralnym po różnych ogródkach, nie mamy bynajmniéj zamiaru zdawać szczegółowego sprawozdania, raz dla tego, że w powodzi przeróżnych elukubracji scenicznych byłoby to rzeczą niemożebną, a powtóre, podobne recenzje nie przynosiłyby nikomu żadnéj korzyści. W właściwém znaczeniu wyrazu, nie można tego nazwać nawet teatrami; bo jest to cóś, na co w języku litarackim nie ma wcale nazwiska....

Ponieważ jednak owe teatry ogródkowe rozpanoszyły się szeroko w naszém mieście i zyskały sobie pewną wziętość i uznanie publiczności, niepodobna więc puścić ich per non sunt i chociażby raz tylko warto pomówić o tém słów kilka, jeżeli nie dla tych, co tam bywają, lub grają, to dla tych, którzy nigdy ich jeszcze nie widzieli...

Owóż tedy, pierwsze miejsce pomiędzy temi ogródkowemi scenami, zajmuje teatrzyk pod dyrekcją p. Stobińskiego, w tak nazwanéj *Alhambrze* przy ulicy Miodowéj. Pan Stobiński jako dyrektor okazał wiele sprężystości. Na towarzystwie jego znać rękę zdolnego kierownika, a co najbardziéj poczytujemy za zasługę panu Stobińskiemu, że chociaż w ciasnym zakresie i w pośród przeważnych okolicności, rozumie i szanuje sztukę. To też role przez artystów są jeżeli nie zawsze dobrze oddane, to przynajmniéj jak się należy wyuczone, co już jest nie małą rzeczą, bo w innych miejscach słuchacze zmuszeni są raczéj podziwiać zręczność suflera, aniżeli grę aktorów, którzy nie tylko że nie zadają sobie żadnéj pracy w wyuczeniu się ról, ale nawet uważają to za rzecz zupełnie podrzędną. Wybór sztuk, czy sztuczek w Alhambrze, mniéj więcéj dobierany jest umiejętnie i o ile wymagać od ogródkowéj sceny można, wystawione są starannie i nawet z pewném poczuciem artystycznych wymogów aranżowane. Schludność, czystość i subordynacja sceniczna widoczna na każdym kroku, nic więc dziwnego, że nawet oczy, przyzwyczajone patrzeć na bardzo dobrych artystów i na wyborną grę, w Alhambrze z niesmakiem odwracać się nie potrzebują. Przy takich warunkach słusznie bardzo przedstawienia w Alhambrze, cieszą się tak. znakomitém powodzeniem, jakiego żaden z ogródkowych teatrów nie posiada. Z przyjemnością zaznaczamy tutaj fakt, że w Alhambrze, bywa czasem przeszło tysiąc osób. Trudy więc dyrektora i jego artystów, pomiędzy którymi zauważyliśmy wcale nieposlednich aktorów i wcale inteligentne aktorki, wynagradzane są w należyty sposób tak pod względem moralnego uznania, jak i materjalnych korzyści.

Niżéj już stoi Figaro przy ulicy Nowy-Świat pod dyrekcją pana Modzelewskiego, chociaż i ten ostatni nie mało okazuje scenicznego doświadczenia, a jako artysta, do lepszych zaliczony być winien; zdaje się jednak, że towarzystwo pana Modzelewskiego nie tak już jest dobrane, jak poprzednie i ztąd nie rzadko w grze i w wystawieniu, uderzają w oczy różnego rodzaju nierówności, szkodliwie oddziaływające na całość i szczegóły. Bądź co bądź, Figaro ma również i bardzo słusznie, dość liczne koło zwolenników, którzy z ochotą dążą w pogodny wieczór rozerwać się po całodziennéj pracy.

Co do Tiwoli.... *recenzent zamilczeć woli....* i zamilczałby niezawodnie, gdyby nie obowiązek wypowiedzenia wszechprawdy panu Russanowskiemu, dyrektorowi teatrzyku w Tiwoli, że w podobny sposób urządzenie przedstawień, jest po prostu żartowaniem sobie z tego wszystkiego, co ludzie przyzwyczaili się nazywać pięknem. Są chwile, że na przedstawieniach w Tiwoli ze wstrętem trzeba odwracać oczy, aby nie patrzeć na szarżowanie dawno już do grobu pochowanemi efektami i prawie zawsze należy zatykać uszy, aby nie słyszeć kaleczenia języka i kompletnie bezmyślnéj dykcji... A cóż dopiero mówić o wyuczeniu się ról, kiedy sam pan

dyrektor wychodzi na scenę i, ufny widać w swoje artystyczne natchnienie, nietylko nie słucha suflera, ale najczęściéj plecie koszałki opałki najszkaradniejszym językiem, jaki się chyba gdzieś chował w zapadłych gniazdach na w pół dzikich Jadźwingów...

Zdaniem naszém pan Russanowski powinienby chyba już pomyśleć o jakim innym przemyśle, bo scena, nawet ogródkowa, dla podobnego rodzaju dyrektorów i aktorów, pod barwą koniecznego upadku, dawać przytułku nie może i nie powinna....

Oprócz tych trzech teatrzyków, mamy jeszcze dwa cudzoziemskie: Eldorado, gdzie, jak się bardzo słusznie wyraził „Kurjer Warszawski", nie jeden ze skaczących na scenie, przeskakuje resztki swojego talentu, który z resztą nigdy swéj prawdziwéj godności nie rozumiał,— i Alkazar, gdzie niemieccy aktorowie chcą koniecznie wmówić w tutejszych mieszkańców, że są prawdziwemi scenicznemi gwiazdami, które para szczęśliwie nam przyniosła ze znanych krajów szlafroków, pantofli i kartofli. A tymczasem, pomimo płatnych reklam, są to po prostu najbardziéj wulgaryczni aktorowie i aktorki, zebrani z szarych końców personażu prowincjonalnych scen niemieckich, którzy uważali za stósowne uszczęśliwić nas, a my przeciwnie uważalibyśmy się za bardzo szczęśliwych, żeby nas już więcéj nie uszczęśliwiali...

Publiczność wcale nielicznie uczęszcza do Alkazaru, jakkolwiek „Kurjer Świąteczny" zapewniał, że ma być wystawiona ogromnéj wielkości tabakierka, na środku ogródka, służąca spektatorom do odpędzenia snu i ziewania.... Snać nie wielu jest w Warszawie amatorów niemieckiéj tabaki i hec niemieckich, bo publiczności jak było mało, tak i jest mało.

Francuzkie Eldorado, prawdę powiedziawszy, bardzo słabe daje pojęcie o prawdziwém *Eldorado*... Trzeba być albo bardzo zblazowanym, albo niewinnym, jak... no, niech będzie fijołek, żeby zachwycać się wdziękami, grą i głosem takich ochrzypłych *życiem* sylfid francuzkich...

Już też co prawda i publiczność nie bardzo jest wymagająca; nie zwykle wyrzucony w górę piruet nogą, odrazu chwyta za serce oczy widzów, bo serce spektatorów, znajduje się nie w piersiach, tylko w oczach...

Na tém kończymy sprawozdanie o ogródkowych teatrzykach, poczytując sobie za miły obowiązek jeszcze raz nadmienić, że scena, zostająca pod dyrekcją pana Stobińskiego, ze wszech miar zasługuje na poparcie i uznanie, czego zresztą publiczność do tego czasu bardzo świetne daje dowody.

M. Dzikowski.

Wiadomości Techniczne.

— Promy parowe Fowler'a na ciaśninie Calais'tańskiéj. Znajdują się obecnie rozmaite projekty, dla szybszego i wygodniéjszego połączenia Anglji z Francją. Olbrzymi projekt podtunelowania ciaśniny Kaletańskiej, z powodu ogromnych kosztów i długiego czasu, jakiego do wykonania tego dzieła byłoby potrzeba, zdaje się iż przynajmniéj w naszym wieku, nie przyjdzie do skutku.

Drugi projekt zasadza się na rzuceniu mostu przez całą szerokość ciaśniny na pływających filarach, dla uzmysłowienia którego zawiązało się obecnie towarzystwo, mające jedynie zadanie wybudowania modelu, który będzie kosztował 200,000 franków.

Trzeci w końcu projekt, który wedle *Engineer'a* ma wszelkie szansy powodzenia i który zapewne wkrótce wzięty będzie pod uwagę, są to *promy parowe Fowler'a.* Inżynier ten, znany już czytelnikom naszéj Gazety Rolniczéj z powodu budowy pługa parowego (obacz № 14 Gazety Rolniczéj z r. b.), projektuje— swój pomysł rysunkami i modelami objaśniając wybudować promy, na któreby cały pociąg kolejowy z wyjątkiem lokomotywy i tendra mógł wjechać, tak, aby passażerowie jadący z Paryża do Londynu i odwrotnie, nie potrzebowali się do innych wagonów przesiadać, jak również aby ładunków nie potrzeba było kilka razy z wagonów na statek i ze statku znowu na wagony przeładowywać. W tym celu zbudują się kolosalne promy parowe 450 stóp długie, a 80 stóp szerokie pomiędzy kołami statku, z dwoma maszynami parowemi po jednéj do każdego koła, razem 1,500 koni parowych wynoszącemi. Tak na angielskiéj jak i na francuzkiéj przystani—zbudowane będą stacje pocztowe, do których parowe promy będą mogły zawijać w każdym wodostanie, przy przypływie lub odpływie morza. Stacje będą miały perony ruchome, które z pomocą hydraulicznych przyrządów będą mogły być podnoszone lub opuszczane, stósownie do tego, przy jakim wodostanie prom parowy do stacji zawinie. Na tak ruchome szyny, zostanie pociąg wepchnięty, a następnie przyprzężona lokomotywa pociągnie go natychmiast do miejsca swego przeznaczenia. Siła maszyny promowéj jest tak obliczona, że cały przejazd przez kanał, nie będzie trwał dłużéj nad jedną godzinę (obecnie 2 do $2^1/_2$ godzin zwykłemi passażerskiemi statkami); upewniają także, że wachania się promów z powodu ich olbrzymiéj wielkości, przy najgorszém nawet powietrzu tak będą małemi, że passażerowie chorobie morskiéj, któréj się tak obawiają, nie będą ulegać. Promy same urządzone będą z wielkim zbytkiem i komfortem. Ponieważ zaś od obudwóch portów koleje żelazne wprost do Paryża, a z drugiéj strony ciaśniny do Londynu pójdą, drogę więc z Paryża do Londynu odbyć będzie można o 2 godziny wcześniéj niż dotąd, to jest w 9-ciu godzinach. Całe to dzieło ma być we dwa lata ukończone i wyanszlagowane jest na dwa miljony funtów szterlingów.

J. P.

ROZMAITOŚCI.

— Ostatnia sessja zgromadzenia drukarzy w Warszawie. ,,Drukarstwo, czyli sztuka drukarska, mówi *Encyklopedja Powszechna*, wpływem, jaki wywarło na cywilizację i postęp człowieczeństwa, jedno z najznakomitszych zajmuje miejsc pomiędzy wynalazkami ducha ludzkiego, słusznie więc w dziejach świata przeważną i nieprzebytą stanowi epokę.''

Przytoczyłem tych słów kilka dla tego, aby wykazać, czém drukarstwo być powinno. Ze smutkiem jednak wyznać muszę, że drukarzom tutejszym, z małemi wyjątkami, daleko jeszcze do stanowiska, jakie powinni zajmować w społeczeństwie. Dowód tego mamy w ostatniéj sessji tegoż Zgromadzenia. Sessja ta, odbyta w dniu 25 Czerwca r. b., w gmachu nowego ratusza, pod prezydencją W-go Stodulskiego, Asessora tutejszego Magistratu, wykazała jasno niedostatki, które, zdaniem mojém (i wielu współkolegów moich), usunięte być powinny.

Postanowienie Księcia Namiestnika w Królestwie Polskiém ,,o Zgromadzeniach rzemieślniczych, tudzież kupcach, fabrykantach i t. p'', wyraźnie orzeka, że wszyscy utrzymujący warsztaty, fabryki, zakłady przemysłowe i handlowe etc., powinni posyłać uczniów swoich do szkół *rzemieślniczo-niedzielnych*

(lub handlowych), wyjąwszy, jeżeli ci udowodnią świadectwami, że ukończyli *trzecią klassę* w średnich zakładach rządowych.

Otóż w liczbie 27 zapisujących się uczniów, żaden podobno powyższego świadectwa nie przedstawił, pomimo, że artykuł 1-szy przepisów, wydanych przez Urząd Starszych dla uczniów i czytany tymże na sessji, wyraźnie powiada, że uczeń, który nie złoży świadectwa z ukończonych klass 3-ch w Szkołach Publicznych, do Zgromadzenia przyjętym nie będzie." Na cóż więc ta komedja? Albo przedstawiający uczniów do zapisu powinni składać powyższe świadectwa, albo posyłać tychże do szkoły rzemieślniczéj. Nawet W-ny Stodulski, delegowany ze strony Rządu, warunkowo podpisał tylko protokół sessji, gdyż powyższych świadectw, wymaganych od zapisujących się przedstawionych nie miał i wyraźnie zaznaczył, że takowe albo powinny być przedstawione późniéj, albo uczniowie do szkoły rzemieślniczéj posyłani być powinni. Na złożenie świadectw powyższych czekać można *ad calendas graecas*, ale posyłanie do szkoły rzemieślniczéj może nastąpić i z konieczności nastąpić powinno.

Na téjże sessji wypisało się także 28 uczniów, na Towarzyszów. Nie od rzeczy będzie słów parę o takich uczniach przytoczyć, a raczéj o nadużyciach, jakie praktykowane są w niektórych zakładach, a które dowodami poprzeć mogę.

Robiąc umowę z uczniami o czas trwania nauki, oznaczają im przeciąg czasu np. 5-letni, (mówię naprzykład, bo czas dłuższy zwykle praktykowanym bywa), z wyraźném orzeczeniem, że czas nauki, w razie dobrego sprawowania się ucznia, skrócony będzie o rok. Gdy jednak przyszło do zadosyćuczynienia umowie, oświadczono im, że uważają za ważną tylko *piśmienną umowę!!* Po skończeniu nareszcie téjże, *zmuszono* ich do złożenia piśmiennéj deklaracji, że pracować będą przez miesięcy sześć za rsr. 15 (miesięcznie).

Nakoniec, niektórzy umawiają się z uczniami na lat cztery, a w księgach Urzędu Starszych zapisani są na lat *sześć!* Smutne to są fakta, jednakże prawdziwe. Dla zapobieżenia więc temu, Urząd Starszych wymagać powinien przedstawiania sobie piśmiennéj umowy, zawieranéj z rodzicami lub opiekunami uczniów, gdyż umowa zawierana z małoletnimi, uważaną być powinna za nieważną i niebyłą.

Na téjże sessji udzielono 8-iu wdowom wsparcie po rsr. 5, a wpływ ofiar dobrowolnych od wypisujących się i zapisujących, wynosił tylko około 420 rubli. W Banku zaś złożony ogólny fundusz należący do Towarzystwa, wraz z summą rs. 420 wyżéj wymienioną, wynosi rs. 4,343 kop. 30.

Kazimierz Piotrowski,
Towarzysz Sztuki Drukarskiéj.

Przyp. Redakcji. Zgodnie z wypowiedzianą przez nas w artykule wstępnym N-ru 27-go Opiekuna Domowego zasadą, ujawniamy myśli, objęte artykułem p. Piotrowskiego, nie przyjmując na siebie żadnéj odpowiedzialności za doniosłość zarzutów i cyfr w nim postawionych, otwierając zarazem pole stronie przeciwnéj do usprawiedliwienia się.

SZKICE OBYCZAJOWE.

Pomysł i rysunek

Leona Kunickiego.

(Charakterystyka wąsów).

III.

(Dokończenie, patrz Nr. 28 i 29-ty).



Wąsy molne.



Wąsy propinatorskie, ekonomskie lub mniejszych dzierżawców.

Korrespondencja od Redakcji.

— **Ks. Z.** *z Agłony.* Co do kuchenek, jakie wspominane pismo przez Szanownego Księdza Proboszcza *praktycznemi* nazywa, nie mieliśmy sposobności sprawdzić rzetelnéj dogodności takowych i dla tego téż zalecać ich nie możemy. Natomiast **Opiekun Domowy** poda w niedługim przeciągu czasu z rycinami opis Czeskich kuchen, które odznaczają się praktycznością niezaprzeczoną i taniością.

— **P. K. W...ri.** Tłomaczeń, nawet w przedmiotach historycznych, jako przechodzących program naszego pisma, Redakcja nie przyjmuje.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. — **Redaktor,** Oskar Stanisławski.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.